№. 20. 18. Maja 1850.

# TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłaja się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**«

## Pierwsza wyprawa polska pod Wiedeń 1515.

I.

Opowiemy starą, zapomnianą historję. Opowiemy jak Polacy jeszcze przed królem Janem III. pod Wiedeń się wyprawiali, nad Dunajem gościli. Nazywamy tę gościnę *pierwszą* wyprawą wiedeńską, było ich bowiem kilka. Była jedna za króla Jana, kiedy on na błagalny głos: Królu, ratuj Wiedeń — i chrzescjaństwo! poszedł i uratował oboje. Była jedna za króla Zygmunta III. kiedy cesarz Ferdynand II. przez usta arcyksięcia Karola, biskupa wrocławskiego, temiż samemi słowy do Zygmunta w Częstochowie przemawiał. Bo takież samo jak za Jana III. niebezpieczeństwo groziło i wówczas Austryi. Jednocześnie z protestanckiem powstaniem w Czechach powstał w Węgrzech siedmiogrodzki książe Betlem Gabor, i jako sprzymierzeniec Porty ottomańskiej, jako spólnik protestanckich w rozpoczętej właśnie trzydziestoletniej wojnie bohaterów, jako obrany już przez naród król węgierski, przygotował już koronację królewską w Budzie, a zniosłszy wojsko cesarskie pod samem Wiedniem, oblegał jak później Turcy, stolicę austrjacką. A jak później Jan III, tak teraz Zygmunt III, pospieszył na głos błagalny z pomocą, wyprawił co prędzej ośm tysięcy Lisowczyków pod Rogowskim do Węgier, i nagłem ich zwycięztwem nad Siedmiogrodzanami, pojmaniem całego siedmiogrodzkiego sejmu w Michaleńcu, rozprószeniem zgromadzonych na koronację w Budzie stronników Betlemowych, uratował powtórnie Wiedeń. — Była wreszcie jeszcze jedna za Króla Zygmunta Starego wyprawa polska pod Wiedeń, którą właśnie opisać tu zamierzamy. Ta ostatnia nie miała w prawdzie barwy wojennej, była owszem wyprawą swadziebną, weselną; ale jeżli tamte obydwie uratowały ginącą Austrję, ta właśnie zbudowała, utworzyła potęgę austrjacką. Wszystkie tedy podawały dobroczynną rękę domowi rakuzkiemu, niosły błogosławieństwo Habsburgom i wszystkie przeto zarównej godne pamięci. Lecz ponieważ wyprawa Jana III. była najgłośniejszą a przytem ostatnią, najnowszą, i najświeższą, więc sława jej przyćmiła sławę i zasługę obu poprzednich, że teraz małe kto je pamięta. Owoż chcemy tu odświeżyć ich wspomnienie i przystępujem do opisu pierwszej, weselnej wyprawy polskiej pod Wiedeń.

Byłoto na początku nowoczesnej historji, w pierwszych latach wieku Zygmuntów. Dzisiejsze mocarstwa wschodniej połowy Europy pełzały jeszcze dziecęcemi karlętami po ziemi. Prusy chodziły na hołdowniczym pasku Polski. Moskwa ledwieco z pod jarzma tatarskiego głowę podniosła. Austrja ograniczała się na arcyksięstwo rakuzkie, Styrję, Tyrol, Karyntję i miała przeto chyba tyle dynastycznej wagi w Europie, co dziś Bawarja. Użyczało jej wprawdzie blasku kolejne trzeciego już arcyksięcia obieranie na tron cesarstwa rzymskiego, lecz pominąwszy iż godność cesarska wówczas tylko czczą była pompą, zależała ona jeszcze jako czysto elekcyjna od dowolności elektorów, od trafu. Toć już i dawniej siedziało dwóch Habsburgów kolejnie po sobie na cesarstwie, a przecież wymknęło się ono potem jeszcze na sto kilkadziesiąt lat ich domowi. Podobnież i teraz był tron cesarski bez przeważnej potęgi dynastycznej nader niepewnym. Uśmiechnęło się było wprawdzie Habsburgom takież dynastyczne spotężenie się w swadźbie arcyksięcia Filipa z młodocianą dziedziczką Hiszpanji Joanną, lecz Filip i Joanna pomarli wcześnie a odziedziczenie Hiszpanji przez jednego z ich synów Karola lub Ferdynanda, było srodze wątpliwem, ile że ojciec Joanny, stary Ferdynand Katolicki nie wypuszczał wcale Hiszpanji z ręku: owszem dla osiągnięcia własnego potomstwa w powtórne wchodził śluby, a — jak się cesarz Maxymiljan ojciec owego Filipa, a dziad małoletnich Karola i Ferdynanda, w liście do swojej córki Małgorzaty wyraża — »czort mu małżonkę upłodnił.« Należało więc gdzieindziej, we wschodniej Europie, inne dynastyczne czynić zabiegi. Ale tam we wschodniej Europie wzięła już stanowczą przewagę Polska, kamień zawady w drodze dynastycznych planow rakuzkich.

Polska była już podówczas w pełnym kwiecie siły i chwały. Dobrowolne z nią zrosnięcie się Litwy i Prus królewskich rozszerzyło pod pierwszymi Jagiellończykami jej potęgę od nadbałtyckiego Gdańska po naddnieprzański Kijów i czarnomorskie wybrzeża. Hołdownicza uległość księstwa Pruskiego, Pomorskiego, Multan i Wołoszczyzny pomykała zwierzchnictwo jagiellońskie po ujścia Odry i Dunaju. Wreszcie ustalenie się panowania rodziny Jagiellońskiej pod

Jagiełłowym wnukiem Władysławem w Czechach i Węgrzech rozprzestrzeniło przewagę jagiellońską, z jednej strony po Elbę, z drugiej po Adryatyk. Cała ta jagiellońska dziedzina obejmowała połowę zaludnionej Europy. A wielkości tego ogromnego systematu politycznego dodawała tem świetniejszego blasku zupełna dobrowolność garnięcia się tylu narodów pod skrzydła jagiellońskie. Odpowiadały też tej miłości ludow dla rodu jagiellońskiego osobiste cnoty jego królewskich członków. Stali teraz na czele całego jagiellońskiego obszaru ziemi dwaj rodzeni bracia Władysław, król czeski i węgierski, i Zygmunt stary, król polski. Obaj słynęli z swojej ludzkości i dobroci. Osobliwie Władysław posuwał jagiellońską łagodność, hojność, słodycz obyczajów aż do słabości. Starał on się tak bezwzględnie wszelkie żądania swego podwójnego narodu ciągłem potakiwaniem zadawalniać, iż go Czesi powszechnie tylko „*Kral Dobrze*“ Węgrzy „*Rex Bene*“ zwali. Wyzuwając się na rzecz szlachty i duchowieństwa ze wszystkich dóbr królewskich, żył on sam na starość w ubóstwie. Nikt go się nie bał, wszyscy go szczerze kochali. — Zygmunt polski łączył z podobnąż łagodnością urok królewskiej powagi; z podobnąż hojnością słuszny wzgląd na potrzebną zasobność skarbu publicznego, zamożność tronu; z wiekopomną ludzkością groźną surowość sprawiedliwości, z sercem Władysławowem nieporównanie wyższe zdolności umysłowe, prawdziwą mądrość. Nadto wiek młodszy — Władysław dochodził lat sześdziesięciu, Zygmunt czterdziestu — pozwalał mu być nierównie czynniejszym, samodzielniejszym. W końcu, wieloletniejsze zakorzenienie się szczepu jagiellońskiego w Polsce, niż w Czechach i Węgrzech, użyczało rządom Zygmuntowym większej pewności, odwagi i energji. Ztąd mocniejsze berło Zygmuntowe służyło za naturalną podporę słabszemu berłu Władysławowemu, Polska stanowiła naturalny punkt oparcia się, oś całego politycznego systematu Jagiellonów, była temsamem głową szeroko po Europie rozpostartej potęgi, a komu ona, jak np. owym rakuzkim planom dynastycznego spotężenia się, zawadą w drodze stanęła, ten mógł snadnie rozbić się o nią.

Nie zatrważało to przecież polityki domu austrjackiego. Stał wtedy u jego steru cesarz a właściwie tylko król niemiecki Maxymiljan. Charakter jego należy do najosobliwszych zjawisk owej epoki. Śmiały do zapamiętałości, piął on się z niebezpieczeństwem życia po skałach niebotycznych, walczył ustawicznie z niedzwiedziami, lwami, nieprzyjaciołmi. Surowy do okrucieństwa, kazał jednego razu 3000 własnych knechtów wywieszać, ponieważ brak żołdu do łupieży ich zmusił. Prożny bez granic, lubił stroić się w szaty, kosztujące krocie, nawet miljony złotych, podczas gdy jego żołdactwo z głodu rozbijać musiało a wyprawiony do Francji bez grosza ambasador, straciwszy już własnych 50 złt. na podróż, musiał w pół drogi grozić, że na krok dalej nie pojedzie, póki cesarz pieniędzy mu nie nadeszle. Najwydatniejszym jednakże rysem charakteru pałała w nim nieograniczona żądza nabywania posiadłości dla swej dynastji. Nie było kraju, do któregoby on sobie jakiegoś prawa był nie urościł. Królestwo jerozolimskie należało mu się oczewiście, jako cesarzowi rzymskiemu. Tem samem prawem uważał on także cesarstwo bizantyńskie, państwo tureckie, za swoję własność. Po matce godziła mu się Portugalja, „z niejednem rozkosznem królestwem w zamorskiej pogańszczyznie“; po pierwszej żonie, wschodnia część Francyi; po drugiej, uwiezionej mu przez francuzkiego króla Karola — zachodnia; po jakichś krewnych Anglja, po synowej, Joannie hiszpańskiej, Hiszpanja z Neapolem, po wnuczce, poślubionej Christjanowi duńskiemu, Skandynawja. Jakoż w jawne świadectwo swoich praw do tych wszystkich państw świata, używał on na prawdę herbów cesarstwa Byzantyńskiego, Portugalji, Francji, Anglji i t. d. Atoli na nieszczęście jak chciwość jego daleko wzrokiem sięgała, tak ramie jego było zgoła bezwładnem. Jako cesarz rzymski uchodził Maxymilian za pana całego chrześcjaństwa, lecz zupełny niedostatek pieniędzy pętał go w każdym kroku. Ten niedostatek nie dozwalał mu za tysięczne krwawe urazy mścić się inaczej na Francji, jak zapisywaniem wszystkich krzywd swoich w umyślnie na to przeznaczonej czerwonej księdze — do obrachunku kiedyś w przyszłości. Ten niedostatek zmuszał rycerskiego cesarza do jawnego niekiedy oszustwa. Poślubiając trzecią małżonkę, bogatą księżniczkę medjolańską, otrzymuje on od jej małoletniego brata Jana Galeazzo 300, 000 dukatów posagu, i potwierdza go wzajem na księstwie medjolańskim. Aż tu tegoż samego dnia niecny opiekun Galeazza, Ludwik Moro, ofiaruje cesarzowi jeszcze 100, 000 dukatów w dodatku, jeźli cesarz odejmie księstwo Galeazzowi, a przekaże je Ludwikowi Morowi — na co Maxymilian, schowawszy posag i dodatek, bez wahania przyzwala. Ten niedostatek środków przywiódł cesarza wreszcie do spuszczania się w projektach swojej chciwości na samo ślepe szczęście. To zaś nadało ostatecznie zupełnie awanturniczą barwę jego charakterowi. W szalonych wyścigach za fortuną, dopuszczał on się cudów dziwactwa. Dziś, dla pozyskania u mieszczan popularności i zezwolenia na podatki, uwijał on się na pięcie po cyplu wieży Ulmeńskiej, jutro w domiar planów nabywczych, roił nabyć tyarę rzymską, zostać papieżem. A ponieważ z takich planów ledwie, dziesiąty mógł przyjść do skutku, więc trzeba było zawsze dziesięć zarazem snować, i tyle też było ich zazwyczaj jednocześnie w robocie. Owoż do najdawniejszych i najulubieńszych planow Maxymiljana należało nabycie Czech i Węgier od starego, słabego Władysława Jagiellończyka. O Węgry był on nawet w czasie samego wyboru Władysława przez Węgrów jego elekcyjnym spółubiegaczem. Gdy Władysław zwycięzył

nie przestawał cesarz napastować go najrozmaitszemi projektami sukcessyjnemi. Naprzód mieli oni zawrzeć z sobą układ na przeżycie. Póżniej gdy królowa czesko-węgierska dwoje dzieci, Annę i Ludwika, Władysławowi powiła, miał Król Władysław zaręczyć koniecznie swe niemowlęta z również drobnemi wnuczętami cesarza, Karolem albo Ferdynandem i Marją. Słaby Jagiellończyk nic stanowczego nie przedsiębrał, ale stany czesko-węgierskie i głowa Jagiellońskiej familji, Zygmunt polski, sprzeciwiali się planom cesarskim, jako niebezpiecznym niepodległości państw jagiellońskich. Wypadało tedy przywieść Zygmunta do powolności, a to przez znękanie go nieprzyjażnią cesarską, przez podniecanie mu mnogich w spokojnym zarządzie Polski kłopotów. W tej myśli wszedł cesarz w wrogie Zygmuntowi stosunki z jego hołdownikami i sąsiady. Poduszczał księcia pruskiego do wyłomania się zpod zwierzchnictwa polskiego. Wyprawił umyślnego ambasadora do w. kniazia Moskwy Wasila i zawarł znim ligę przeciw rodowi jagiellońskiemu. Jednocześnie zaś nalegał coraz natarczywiej na Króla Władysława względem poswatania habsburskich i jagiellońskich dzieci, a w szczególności wysłał doń o to swego przebiegłego radzcę Kuspinjana. Król Władysław odpowiedział stanowczo, iż bez zezwolenia brata Zygmunta niczego nie uczyni. Na to Kuspinjan, stosownie do poleceń cesarskich, ozwał się z zaprosinami obudwóch królów, Władysława i Zygmunta, do osobistego z cesarzem Maxymiljanem zjazdu i porozumienia się. Obecny tym zaprosinom polski do Władysława poseł, sędomirski podówczas kasztelan Krzysztof Szydłowiecki, miał uwiadomić o tem Zygmunta. Tak tedy uwisło wszystko na postanowieniu króla polskiego.

Zygmunt polski miłował nad wszystko spokój. Różnostronne psoty cesarskie nie były mu w prawdzie zbyt groźne. Toć mimo „pokumania się" Moskwicina z cesarzem pobił on go świeżo (w lecie 1514) na głowę nad rzeką Orszą. Zawsze jednak mieszał mu cesarz ciszę domową, nie dopuszczał Polsce pożywać spokojnie błogosławieństwa ojcowskich rządów Zygmunta, i był tedy mulem gryzącym, od którego uwolnić się należało. Przytem wrodzona Zygmuntowi dobrotliwość jagiellońska, wzbraniająca mu opierać się długo czyimkolwiek wymaganiom upornym, wzbraniała mu także sprzeciwiać się do końca swadziebnemu natręctwu Maxymiljana. Dla świętej przeto zgody, dla uspokojenia się od poduszczanej przez Niemca Moskwy, od buntowanego przezeń księcia Pruskiego, od ciągłego natręctwa cesarskiego, gotów był Zygmunt przychylić się do swadziebnych życzeń cesarza, zezwolić na ułożone małżeństwo. Zaczem gdy w zimie 1514 owe zaprosiny z Węgier nadeszły, *przyrzekł* bawiący wówczas na Litwie Zygmunt przybyć z następną wiosną na umówiony zjazd do *Presburga*, wrócił wtym celu niezwłocznie do Krakowa i jął się wybierać wdrogę.

II.

Wybierano się jak na daleką wyprawę. Zgromadził się w lutym 1515 sejm, aby królowi udzielić pozwolenia do podróży. Nastąpiły różne mianowania na czas niebytności królewskiej. Rząd domowy poruczono Janowi Konarskiemu biskupowi krakowskiemu; sprawę wojenną Mikołajowi Kamienieckiemu wojewodzie i staroście stolicy. Rozeszły się mnogie listy królewskie, wzywające znakomitszych biskupów i panów świeckich obu narodów do towarzyszenia królowi. Po całej rzeczypospolitej krzątano się około przyborów w drogę, a krzątano się z starannością o jaknajwiększy przepych, gdyż miano wystąpić w obec różnych zagranicznych narodów, Czechów, Węgrów i Niemców; a krzątano się tłumnie, gdyż oprócz panów wezwanych łączyło się z orszakiem królewskim wielu samą ciekawością wiedzionych. Terminem wyruszenia z Krakowa stanął dzień piąty miesiąca marca.

Jednakże wszystkie te przygotowania, acz staranne i tłumne, nie szły od serca. Odbywały się one owszem z widoczną posępnością. Cały bowiem naród patrzył z niesmakiem na tę wyprawę. Senat, zgodnie z stanami czeskiemi i węgierskiemi, nie życzył sobie spowinowacenia z domem rakuzkim i odradzał królowi podróż. — Królowa Barbara, siostra Janusza Zapolskiego, mniemającego w razie wygaśnięcia Jagiellończyków w Węgrzech mieć bliższe do korony węgierskiej prawo, niż rodzina Habsburgów, markotna była temu poswataniu się z Habsburgami, które jej bratu wszelką nadzieję korony odejmowało. Nawet szanowana wówczas powszechnie umiejętność czytania przyszłości w gwiazdach nie wróżyła szczęścia wyprawie. Mądry astrolog Miechowita, „z którym w naszych czasach — prawi jego znajomy, *Jodocus Decius*, sekretarz króla Zygmunta — w przepowiadaniu z gwiazd, jeśli takowe na wiarę zasługuje, nikt równać się nie może," badał pilnie znaki niebieskie, i same wątpliwe czytając w nich sukcesa, oświadczył, iż król „na próżno w drogę wyrusza." Nadto dochodziły co chwila odmienne wieści od lekkomyślnego cesarza. Raz donosił on, że w oznaczonym czasie do Presburga zjechać nie może. Drugi raz, że nie mogąc sam przybyć, kardynała Mateusza, biskupa Gurcenskiego, zamiast siebie wyprawi. To ośmieliło niektórych senatorów do nowego odradzania królowi całego przedsięwzięcia. Przedstawiono, że niegodną króla polskiego jest rzeczą, jechać na spotkanie kogokolwiek pośledniejszego od cesarza. Silono się wszelkiemi sposoby zniechęcić króla do drogi.

Atoli Zygmunt trwał niezachwianie w uczynionem cesarzowi przyrzeczeniu. „Słyszałem na własne uszy — pisze *Decius* — jak król mówił: Dałem cęsarzowi słowo i dochowam go święcie, choćby najpośledniejszego dworzanina naprzeciw mnie wyprawił. Pojadę dokąd pan Bóg i los mi wskaże. Bo nie ma nic szpetniejszego dla króla, jak

słowo złomać.” Tak stałe postanowienie królewskie chciano koniecznie z wróżbą znaków niebieskich zgodzić. Ale jak król Zygmunt tak i mistrz Maciej był niezmiennym w swoim wyroku. Napróżno udawał się doń jego bliski przyjaciel a poufnik królewski, Boner. Astrolog odpowiedział, że król nie obaczy cesarza, chyba w połowie lipca. „Więc dobrze — rzekł król — obaczę się przynajmniej z bratem i jego dziećmi.”

Zaczem lubo jeszcze daleko do lipca było, zjechali się zaproszeni do komitywy panowie i wyruszono istotnie dnia 5 marca z Krakowa. Cały orszak podróżny, pod sprawą w. marszałka koronnego Stanisława Halickiego, był nadmiar okazały. Sam dwór królewski składał się z tysiąca pięciuset jezdnych, nie licząc w to dworzan i wszelkiej służby. Towarzyszyło królowi dwunastu senatorów — czterech biskupów: Krzysztof Szydłowiecki, krakowski, kanclerz koronny; Piotr Tomicki, przemyski, podkanclerzy; Maciej Drzewicki, kujawski; Jan z Lubrańca, poznański — czterech wojewodów: Mikołaj Firlej, sędomirski; Mikołaj Radziwiłł, wileński; Andrzej z Tęczyna, lubelski; Jerzy Baziński, malborski — i czterech kasztelanów: Łukasz z Górki, poznański; Mikołaj Szydłowiecki, sędomirski; Stanisław z Ostroroga, kaliski; Andrzej Kościelecki, wojnicki, podskarbi koronny. Prócz tych, wielu panów koronnych i litewskich, jak Jan Pilecki, starosta lubelski, Jan z Tarnowa, Piotr Kmita z Wiśnicza, Stanisław Gasztołt, Jarosław z Łaska, tudzież polskiej i litewskiej młodzi nie mało. A każdy z panów miał swój osobny dwór, złożony z kilkudziesięciu najrozmaitszej służby. I tak np. panowie Mikołaj Radziwiłł i Stanisław Gasztołt mieli po pięćdziesięciu młodzieńców muzykantów, z kozacka, z moskiewska i z tatarska, w krzywych butach, z szablami i sajdakami, przybranych, a z wielkim kosztem w Polsce w harmonji wyćwiczonych. Przeróżny sposób owczesnego podróżowania konno, w lektykach, rydwanach, kolasach, — różnobarwność polskich, litewskich, ruskich, pruskich, tatarskich, nawet litewsko-moskiewskich strojów, rynsztunków i rzędów — mnogość obciążonych królewskiemi i pańskiemi skarbami, dary, przybory, wozów — nadawały całej swadziebnej wyprawie wielce malowniczego widoku. Przeszło trzy tysiące ludzi i koni ciągnęło z Krakowa południową bramą ku Węgrom.

Po dwóch tygodniach drogi zjechał się król w Tyrnawie z wyprawionymi od brata Władysława w powitalne spotkanie margrabią Brandeburskim Jerzym, siostrzeńcem obudwóch królów i Jerzym, biskupem Pięciukościelskim — po trzech tygodniach z samym bratem Władysławem i jego dziećmi Anną i Ludwikiem w Presburgu.

Od lat kilkunastu, jak się obaj bracia królewscy po raz ostatni widzieli, zaszła z czesko-węgierskim Jagiellończykiem smutna zmiana. Słaby Władysław, starszy o lat dwadzieścia od Zygmunta, znękany krnąbrnością czesko-węgierskiej szlachty, często do najboleśniejszego niedostatku przywiedzion, zgrzybiał w niedołężnego starca. Strata ulubionej małżonki pogrążyła go w nieustającą melancholję. Po dni kilka nie mawiał z nikim, nie zmieniał stroju. Lada okoliczność rozrzewniała go do płaczu. Jedyną w świecie pociechą były mu jego dzieci. Osobliwie królewna Anna, żywa dwunastoletnia dziewczynka, przypominająca obraz nieboszczki matki, przylgnęła ojcu do serca. Przywiązał on się do niej tem mocniej, ile że widok jej brata Ludwika, dwiewięcioletniego chłopczyny, budził nader posępne myśli. Byłto dziwotwór natury. Przyszedłszy przedwcześnie, kosztem macierzyńskiego żywota, na świat, musiał on długo sztucznemi sposoby przy życiu być utrzymanym. Potem rozwinął się nagle, w chłopięcym jeszcze wieku, w dojrzałego mężczyznę. Wkrótce po obecnym zjezdzie weselnym, w czternastym roku życia, miał on już wąsy i brodę, a w ośmnastym roku posiwiał. Przy tak chorowitem usposobieniu ciała nie wróżył on bynajmniej długiego życia. Toż spieszno mu było przywdziać koronę. I oboje też młode rodzeństwo byli już od lat kilku koronowani. Właściwie przysłużał ten zaszczyt tylko królewicowi. Lecz sześcioletnia wówczas królewna Anna napierała się przy koronacji z tak nieutulonym płaczem korony, że ją także ukoronowano. Przy chorowitości Ludwika i tej na Annie spoczywającej wróżbie koronacyjnej uważano powszechnie młodocianą Jagiellonkę za istotną następczynię tronu w przyszłości. Ztąd też wzajemność poswatania habsburskich i Jagiellońskich dzieci była tylko pozorną. Jagiellończyk Ludwik, w kwiecie młodości nad grobem, nie miał żadnego podobieństwa odziedziczenia kiedyś posagowych nadziej — bo na tych kończył się cały posag — swojej habsburskiej narzeczonej. Jagiellonka Anna wnosiła swemu habsburskiemu oblubieńcowi pewność objęcia wkrótce wiana dwóch koron.

(Dokończenie nastąpi.)

---

## Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

**J. I. Kraszewskiego.**

(Ciąg dalszy.)

### XII.

— Wiesz co, nie martw się kochany Tomku, mówił schodząc ze wschodów German do swego towarzysza — gwiazdy wysoko, niebo daleko a i nasze oczy nie wyśmienite i rozum na to za mały — tu prawdy trudno się dopytać, kiedy ona tylko na promykach do nas wędruje, które chwytać potrzeba nim błysnąwszy krótko zagasną. Prawda musi być dla nas wpostrzeganiu rzeczy bliższych, przeznaczonych byśmy je nieustannie badali.

Ot właśnie jesteśmy pode drzwiami professora fizyki — słyszę krzyk dzieci, a professorowie fizyki zwykle ich miewają podostatkiem, może dla tego że nie siedzą w domu — Chodźmyno do niego —

— A chodźmy, rzekł obojętnie Tomko.

— Myślę że on być musi na lekcji, rozpoczynać ją musi, bo to właśnie godzina jego, więc spieszmy lepiej do sali.

To mówiąc weszli do wielkiej sali, w której lud słuchaczy drzémał rzadko rozsiany po ławkach. Professor blady ale bardzo poważny, gestykulował w katederce i zrywał się nachylając niekiedy ku słuchaczom, którzy mieli minę jakby go wcale nie słuchali.

Baron uczyniwszy nizki pokłon, zasiadł z Tomkiem w pierwszej ławie i przybrał minę arcypoważną, pełną skruchy i namaszczenia, rzekłbyś że się gotował do nabożeństwa.

Nauczyciel rozpoczynał naukę o swietle i z miną poważną wyrzekł to axioma, niemogące, zdaje się, być zaprzeczonem:

— Swiatło mości panowie, jest ciałem nieważkiem —

— Przecież je przeważono! rzekł po cichu Baron, ale to zostanie między nami.

— *Silentium.*

— Będziemy tu mówili nie tak o niem, jak raczej o jego działaniu, o prawach jego bytu i stosunku do ciał innych, gdyż wewnętrzna natura i istota tego płynu są nam zupełnie nieznane.

— Tak jak wszystkiego na swiecie, rzekł zawsze przerywać lubiący Baron German.

— Powierzchnie gładkie odbijają swiatło. —

— Swiadkiem łysina professora, szepnął ktoś z boku.

Za pomocą promieni wychodzących z ciał swiecących, widziemy te ciała; za pomocą promieni odbitych od powierzchni ciał widziemy oświecone. Nierówna ilość promieni od powierzchni ciał odbitych podług jakości powierzchni i natury tych w różnym nam je okazuje blasku. Ciała pod względem światła dzielą sie na pochłonywające, na przezroczyste i przeświecające.

— Za pozwoleniem, odezwał się Baron — Bardzo to zapewne wygodnie być musi panie professorze, tak sobie usłać łóżko i potem na niem leżeć, ale co się tycze własności ciał, jest to tylko przypuszczenie i dowolność.

— Co to jest? zapytał nauczyciel — oppozycja! krytyka! dyspuła!

— Nie! to tylko pytanie — Własności ciał należą wszystkie wszystkim tylko w różnym stopniu. Niema w istocie ani zupełnie przezroczystych ani całkiem nieprzezroczystych; tak jak niema też absolutnie sprężystych i niesprężystych; — wszystkie ciała są obdarzone własnościami jednemi, ale w bardzo różnym stopniu — Panowie tylko przypuszczacie dla swojej wygody jakieś wyłączne własności jednym, odmawiając ich całkiem drugim. W naturze wszystko jest do nieskończoności stopniowane, a tych szranków, które nauka ludzka kreśli, niema i niebyło.

Professor osłupiał, słuchacze powstali, zrobił się szmer przepotężny i Bedel wyrzucił za drzwi Tomka z jego towarzyszem, tak że dalszego ciągu nauki o swietle słyszeć nie mogli.

XIII.

— Niemamy tak dalece czego płakać, rzekł niemczyk, bo i tu prawdy byśmy się niewiele dowiedzieli. Fizyka jest dziś jak stary zastawnik, którego lada chwila wyrzucić mogą z nieprawnie posiadanego majątku. Już ona granic między swą majętnością a dobrami chemji zakreślić dokładnie nieumnie, a na starych i zgniłych siedząc posadach i usiłując jeszcze osobno mówić o świetle, osobno o cieple, osobno o elektryczności i magnetyzmie, gdy podobno wszystkie te fenomena są jednym; w krótce będzie musiała całkiem się przetworzyć, by żyć. Fizyka jest jeszcze jedną z tych starych pozostałości, którą experymentacja dalsza i postępy chemji, zmuszą do całkowitego od stóp do głów przeistoczenia.

To mówiąc weszli na salę, w której nauczyciel ogólnemi uwagami rozpoczynał historją zwierząt i ich organizacji. Baron pokłonił się nizko, posadził Tomka i szepnął mu:

— Słuchaj no, już to podobno dziesiąty czy dwudziesty system w tym przedmiocie za ostateczny uważany, posłyszysz. Warto ucha; boć gdyby nawet wszystko fałszem było, dowodzi jak człowiek bogaty. Trzęsie jak z rękawa przypuszczenia i co godzina świat nowy tworzy, gdy nasz stary pan Bóg jednym się tylko kontentował. Prawda że niczego mu się udał.

— Nerwy i mózg, w swem coraz doskonalszem rozwinięcia stopniu, odcechowują zwierzę.

— A cóż człowieka? spytał Baron! —

— W miarę jak mózg się uwyraźnia, oddziela, powiększa, jak on się staje siedliskiem a ogniskiem życia, centrem głównem, organem panującym, nerwy też okazują się subtelniejsze. Zwierzęta niższych organizacji mają nerwy grube, węzły nerwowe więcej rozwinięte, bo to jeszcze życie mniej skupione, bardziej rozlane; im doskonalszy twór tem nerwy stają się delikatniejsze

— Tak że w najdoskonalszym tworze, zapewne, rzekł Baron, skończy się na tém, że żadnych nie będzie!

— Mózg zaś w miarę wyższej organizacji coraz się powiększa i bogaciej organizuje.

— Tak że w idealnem zwierzęciu będzie zapewne jeno sam prześliczny mózg Chciałbym je mieć na stół, bo mózgi lubię.

— Węzły te, gruczoły czyli móżdzki, rozprowadzają życie po całem ciele owadów, robaków i skorupiaków. Dla tego to rozdzielenia w nich (że tak powiem) życia,

rozciąć je możesz i nagle niepozbawisz go; dla tego żółwiom wyjmiesz mózg a życie zostanie.

— I to wszystko, przerwał z cicha szyderca, dowodzi złą organizacją!

— U coraz niższych zwierząt jak polypy, gangliony nerwowe rozsypane są, tak właśnie jak nasienie w grzybach, po całem ciele. Im bardziej duch zwierzęcy, *anima animalis*, skupia się, jednoczy w ognisko jedno, tem zwierzę doskonalsze. Człowiek z tego stanowiska uważany, li jako zwierzę, jest szczytem organizmu.

— I egoizmu — dodał Baron.

— Zmysły —

— Za pozwoleniem pana professora, jeśli się godzi przerwać i spytać, rzekł Niemiec — czy są zmysły, czy tylko zmysł?

— Powszechnie przypuszczamy pięć zmysłów — poważnie odpowiedział nauczyciel.

— Czy wolno mi uczynić objekcją?

— I owszem, bardzo proszę.

— Jest to stara formułka; zmysł w istocie jest jeden tylko.

— Jaki?

— Dotykanie.

— Jak to?

— Wiem o tem, że i co do liczby zmysłów są różne zdania, bo niektórzy do pięciu dodali szósty generacyjny, a siódmy zrobili lepiąc sześć poprzedzających w jedno. Ale to sobie niewinna zabawka! To co zowią zmysłami niewłaściwe, są to *organa* jednego zmysłu, dotykania. Wszakże oczyma dotykamy światła od gwiazd nawet, zapachy dotykają naszego nosa; ustami dotykamy potrawy, ucha dotykają dzwięki. Pięć organów zmysłowych, są jak pięć palców jednej ręki, posługaczami jednego zmysłu. Te pięć organów wymierzone są na pięć głównych a raczej cztery stany materji, (gdyż smak i powonienie są prawie jednem i ściśle łączą się z sobą). Oko jest organem dotykania ciał promienistych, ucho do płynów (powietrza) usta do ciekłych lub w pół ciekłych, nareszcie palce i reszta ciała do zsiadłych, stałych.

Każdy organ zmysłu bada stosowne sobie stany, a że w naturze niema nigdzie nic zupełnie wyłącznego, niekiedy organa się zmieniają i zastępują wzajemnie. Tak w snach magnetycznych.

— Idźże asan spać! przerwał professor, kiedy już o snach prawić zaczynasz.

Baron ukłonił się, zamilkł i usiadł, a nauczyciel mówił dalej.

— Zmysły exystują u zwierząt mniej więcej rozwinięte wedle organów, jakie im dała natura, wedle środka w jakim żyją. U niższych zwierząt właściwie zmysł jest jeden, bo one całe są jednym zmysłem. Rozwinięcie organów determinuje się u zwierząt samą do życia ich potrzebą, zastosowuje do środka, w którym żyć są przeznaczone. Przypuszczają że rośliny właściwego sobie ciepła własnego niemają, chociaż ruch pewien wewnętrzny sam, processem życia musi jako ruch wzbudzać niezbadaną istotkę ciepła. *Arum* roślina Europy południowej w czasie kwitnienia od 30 do 36 stopni ciepła objawia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

## TEATR.

Dnia 8. Maja widzieliśmy pierwszy popis *p. Chapman*, którego sztuki opisałbym sumiennie, gdyby to, o czem tylko z widzenia na własne oczy wyobrażenie powziąść można, opisać się dało. Ruchów ciała nie można ująć w słowo, a tem mniej w martwą czcionkę, również jak dźwięków muzyki, spiewu słowika, pięknych obrazów przyrody lub arcydzieł malarstwa i t. d. Z tego wszakże nie wynika, ażeby sztuka *p. Chapman* mogła iść w porównanie z owemi idealnemi i estetycznemi rozkoszami. Przeciwnie, sztuki *p. Chapman* nie są piękne, tylko dowodzą do jakiego nadzwyczajnego stopnia można doprowadzić mechaniczną i gymnastyczną zręczność. Może nie jedna miła twarzyczka zarumieniłaby się i odwróciła się od obrazu danego o *p. Chapman*, dla tego radzę czytelniczkom: idźcie i patrzcie, bo wiele rzeczy wolno oglądać, które dokładnie opisać niekoniecznie wypada. Ponieważ mi jednak zależy na tem, aby przynajmniej dla p. Chapmana teatr polski więcej miał widzów niż miewa zwykle, — pomimo tego że jeszcze dwie inne sceny kosztem jego żyją, i pomimo że jest podobno najlepszy z polskich teatrów: — więc dla zaostrzenia ciekawości usiłuję dać choćby niewyraźne wyobrażenie tego co *p. Chapman* pokazuje i dokazuje.

Unosi on na podeszwach beczkę jakby na dłoniach, igra nią podrzucając w takt z wiekszą lekkością niżby którykolwiek z dotąd widzianych atletów rękami zdołał uczynić. Zresztą oprócz obracania koła, ostrokręgowej (konicznej) bani i talérzyków na końcu cienkich patyczków lub niegrubego drążka, jakby przez czary wykonywanego, oprócz podobnej jak z beczką zabawy z długim wałkiem; wykonuje p. Chapman rzecz o której mytologja grecka marzyła a którą później tylko malarze lub snycerze wyobrażali. Stoi bowiem na kuli toczącej się wolniej lub prędzej, pod górę lub na dół, i nadaje jej nogami kierunek, bez najmniejszego znużenia lub natężenia. Zresztą trzeba dodać że p. *Chapman* nie *chodzi* po scenie tylko postępuje w samych poskokach i *entrechats*.

Popisy *p. Chapman* były wszakże tylko intermezza w przestankach między dwiema komedjami tj. „*Odludki i poeta*” Fredry i „*Doktor medycyny*” Korzeniowskiego. Wdzięczni byliśmy dyrekcji za tak dobry wybór sztuk i przekonaliśmy

się oraz że dobre sztuki nigdy się niesprzykrzą, choćby często powtarzane.

„*Odludki*” odegrano miernie — inaczej powiedzieć nie możemy. Nie zepsuł nikt roli, ale nikt nie wzbił się do idealnego stanowiska autora. *Edwin*, nie miał tej dziewiczej czułości, którą w nim Fredro tak prawdziwie i pięknie połączył z energją młodzieńca i z wzniosłością ducha żyjącego tylko dla ideałów. Deklamacja nie zastąpi rzetelnego zapału. W *Zuzi* nie widzieliśmy także tej dziewicy, która kochanka swego nie kocha jedynie jako młodego lub ładnego chłopca, ale jako mistrza, odrodziciela swej duszy, idealnością pięknego i ujmującego. I rola *Czesława* jakkolwiek zdaje się być bez działania, nie powinna być wszakże oddaną bez udziału w tem co się w około dzieje. W tej milczącej roli oddać charakter jest zadaniem artysty. Toż samo *Astolf* wymaga artystę *skończonego*; bo oba charaktery są to ludzie skończeni. *Czesław* przedstawia człowieka którego serce zbyt czułe, było zawielkie aby się stósować do ciasnych fug powszedniego świata. Dlatego doznawszy wszystkich goryczy i słodyczy tego świata zerwał z nim, nie mogąc znieść pierwszych a znudzony drugiemi. W oddaniu tego charakteru powinna się przebijać idealność poety i ta melancholja która się wyraża w słowach innego poety: „*kochać świat zdaleka od ludzi.*” Przeciwnie *Astolf* żyje rozsądkiem, on niejest bez idealności, owszem poznawszy nieużytość powszedniego świata dla ideałów, pogardził nim, porzucił go z nienawiścią ale nie z tęsknym bolem w sercu jak *Czesław*; to jest silny szorstki charakter, który sam sobie wystarcza. Dla tego radzi Edwinowi albo zostać poetą i nie żenić się, albo jeżeli się żeni i rzuca w zamęt powszedniego życia, przestać być poetą. To odpowiada jego charakterowi; podczas gdy Czesław zupełnie stosownie także do swojego usposobienia cieszy się, że znalazł w osobach Edwina i Zuzi choć dwie istoty, które się z nim zgadzają w idealności, i które jego uszczęśliwią harmonją dusz; równie jak on może im uczynić podobném osiągnienie upragnionego szczęścia t. j. małżeństwa, przez ofiarowanie swego majątku.

Jestto jedna z owych komedji wyższego rzędu, która nie osnuwa płaskiego dowcipu na historycznej albo całe z powszedniego życia uchwyconej anegdocie; tylko stosunki *wyższego umysłowego* życia pojmuje ze strony komicznej, i przedstawia je z sardonicznym mędrca humorem. Wszystkie charaktery mogły być zarówno przedmiotem tragedji — i to znamionuje właśnie genialnego poetę, że nie przekrzywiając w karykaturę tak znamienitych charakterów umiał je przedstawić w magicznem świetle humoru. Trafić ten środek między prawdziwą komicznością a karykaturą jest trudniej, niż napisać dobrą tragedję.

Po tak wzniosłej komedji miło było widzieć „*Doktora medycyny*,” bo nie skaził przynajmniej idealnego nastrojenia umysłu w jakie nas wprawiły „*Odludki i poeta.*” *Doktor medycyny* ma się do „*Odludków*” jak malowidło tak zwane rodzajowe (*genre*) do historycznego; jest to trafny i nauczający obrazek z życia powszedniego. Niewiedzieliśmy czy *smucić* się mamy czy *śmiać*, że u nas chłostanie poetyczne tak bezrozumnych przesądów jest jeszcze potrzebą życia. Powtarzamy za. p. Anną, którą *p. Sułkowska* (jak w ogóle Korzeniowskiego kobiety) bardzo trafnie i mile oddała, „*Niestety — niestety — niestety*, jeszcze u nas zbyt rozszerzony jest przesąd, że poświęcenie się pewnego rodzaju zarobkowaniu poniża pewne stany, jak gdyby gospodarstwo wiejskie nie było zarobkiem, albo jakby nie było poniżającem należeć „*ad fruges consumere natos.*” Mamyż chwalić prawdę i trafność obrazowania w Korzeniowskim, mamyż mu zarzucać użycie „Deus ex machina” w łamaniu ręki p. Hieronima, mamyż rozbierać tak znaną już komedję, a jeszcze znajomsze (bo je codzień zdybać można) wzory charakterów jej? Korzeniowski pewnie sobie niebrał w Galicji wzorów, a jednak ileż Galicjanów jest tam odportretowanych. To naucza że satyrą lub komedją nigdy niepowinni się urażać ci, którzy na około autora żyją i mieszkają; bo jeżeli oni milczą, wtedy strzały autora wszędzie kogoś trafią. Jeżeli zaś ci co się poczuwają, czynią jak ów wilk w bajce, który się uniewinniał choć go nie posądzano; wtedy pewnie nikt nie powie np., że *Doktor medycyny* i do nas się stosuje, tylko np. jak o Parafiańszczyznie że opisuje pewne miejscowe osoby. Gdybyśmy byli milczeli, byłby i Poznań, i Kraków i Warszawa zastosowała parafiańszczyznę do siebie, a o lwowskich wzorkach niktby nie wiedział. Wracam do „*Doktora*”. Wspomniałem już że sztuka ta niżej stoi od „*Odludków*”, wszelako jest to bardzo dobra tak zwana towarzyska komedja i gdybyśmy takie często widywali, a nasza publiczność zajmowała na podobnych przedstawieniach więcej niż 24 krzeseł i 12 lóż, zyskałaby publiczność i teatr niezawodnie.

Wszyscy bez wyjątku artyści odegrali tę sztukę bardzo dobrze. *P. Nowakowski* grał tym razem bez wszelkiego karykowania i dla tego z wielką prawdą; nawet *p. Łoziński* który zwykle nieszczęśliwie grywa kochanków przewyższył się w roli „*Doktora*”; *p. Radowskę i p. Rejmersa* posądzilibyśmy o przesadę, gdybyśmy takich oryginałów nie znali. Półkownik, matka Doktora, „*domyślny*” służący, wszystko było dobre. Miałbym tylko do zarzucenia, że po przybyciu p. Marszałkostwa wśród całej dość długiej konwersacji nikt nie usiadł — jednak nie wiem czy tego autor wymaga czy to się stało przez nieuwagę grających.

Jak więc sztuka Fredry nie była całe zadowalniająco odegrana, tak przeciwnie odegranie, sztuki Korzeniowskiego zadowolniło zupełnie; dla tego pierwsza choć nierównie ją wyżej cenimy, uczyniła mniej pomyślne wrażenie niż druga dużo niżej stojąca.

## Korespondencja literacka.

— *Ze Lwowa.* —

Winniśmy słowo pamięci *Fr. Xaweremu Bełdowskiemu* zmarłemu d. 5. b. m. we Lwowie (w 33. roku życia). Człowiek ten ubogi i pracowity strawił siły w niewdzięcznym u nas zawodzie piśmiennictwa. Wydawał on pismo perjodyczne pod nap. *Przyjaciel dzieci*, w którym nietylko wszystkich artykułów ale i drzeworytów sam był autorem.

*Warszawa.* — Nakładem Orgelbranda wyjdą wkrótce następujące dzieła:

Roczniki kroniki i polskie i litewskie najdawniejsze p. *W. A. Maciejowskiego.*

Dzieje panowania Augusta II. króla polskiego.

Joachima Bielskiego dalszy ciąg kroniki polskiej od r. 1587 do 1598 *p. Sobieszczańskiego.*

Wiadomości historyczne o sztukach pięknych *p. Sobieszczańskiego.*

Powieści i Legendy *A. Kosińskiego.*

Tajemnice z wyspy Ś. Heleny —

Z drukarni rządowej wyszedł z druku: *Rocznik Urzędowy*, obejmujący spis naczelnych władz cesarstwa rossyjskiego oraz wszystkich władz i urzędników król. polskiego na r. 1850.

— W drukarni Strąbskiego wyjdzie wkrótce dzieło pożyteczne dla badaczy historji polskiej, t. j. *A. Przezdzieckiego* Wiadomość bibljograficzna o rękopisach zawierających w sobie rzeczy polskie znajdujące się w niektórych bibljotekach i archiwach zagranicznych.

— Nakładem Friedleina drukuje się w Ungera drukarni: *Dom. Szulca* O pomorzu zaodrzańskiém.

— Nakładem Merzbacha wyjdzie wkrótce: *T. Dziekońskiego* Historja Hiszpanji i Portugalji podług najlepszych źródeł ułożona. 2 tomy. —

— Pod prassą jest dzieło ozdobne: *Rastawieckiego;* Słownik malarzy polskich tudzież obcych w Polsce przebywających. — Z wizerunkami sławniejszych mal. pols. *p. Piwarskiego* na cynku wykonanemi. –

— W Październiku r. b. wyjdzie staraniem *p. Pauliny z L. Wilkońskiej* dzieło zbiorowe pod nap. *Wiązanka literacka* złożone z celniejszych utworów poezji i w prozie tegoczesnych pisarzy naszych. Przedpłata Złp. 20.

Tej samej autorki wyszło w z. r. dzieło pod nap. *Godzina rozrywki* Zbiór powieści szkiców i obrazów. 2 tomy. w Warszawie.

— Wkrótce wyjdzie powieść historyczna: Bitwa pod Grundwaldem czyli Krzyżacy z czasów Władysława Jagiełły p. E. Bogusławskiego 3 tomy. —

— *W Gnieźnie* wyszedł nakładem księg. *I.B. Langie* 1szy tom Czytelni ludowej zawierający: Dzieje naszej świętej ojczyzny Polski ukochanej (Złp. 1 gr. 15.)

*W Paryżu* wyszło *Album Polskie* pomysłu i rylca p. Lewickiego znanego zaszczytnie z wykonanego dzieła Les Costumes du peuple Polonais par Leon Zienkowicz. Album obejmuje kilkanaście strojów dawnych polskich z autentycznych zabytków a współczesnych, z zbioru p. Adolfa Cichockiego w Paryżu, mianowicie zaś: mieszczan krakowskich z czasów Zygmunta III. i panów z epoki Władysława IV Są tam stroje drobniejszej szlachty, i godła wojenne lub religijne naszego rycerstwa. Każda rycina przedstawia scenę obrazującą charakter epoki. Tytułowa karta wyobraża wieniec z postaci Królów, hetmanów, biskupów i bohaterów.



Omyłka druku.

W N. 18 „Tygodnika" wkradły się w „*Dumce*" dwa rażące błędy; w 5. wierszu zamiast „*Bije fala*" czytaj „*Bije falą*", w 10. zaś zamiast *Ach! te czuję sny* czytaj: *Ach! tęczuje sny.*


Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.